Nr. 14. Lwów, dnia 16. lipca 1910. Rok XXXIII.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

SEWERYN KROGULSKI.

Notatki z wystawy łowieckiej.

Po ogólnym zarysie obrazu wystawy, naszkicowanym w poprzednim numerze „Łowca", trzeba przedewszystkiem na oścież otworzyć podwoje gal. Galerji trofeów łowieckich i okazać jej wnętrze. A trzeba to uczynić dlatego, aby z każdym klejnotem tego skarbca św. Huberta, zanim co cenniejszy z nich spotka się z mikroskopem i skalpelem badacza przyrody i doczeka się właściwej oceny, do kładnie się zapoznać.

Sądzimy, że zadanie to spełni najlepiej niżej zamieszczony katalog. Miał on, jak to nadmieniliśmy poprzednio, wyjść łącznie w języku polskim i niemieckim. Udaremniła jednak ten zamiar drukarnia wiedeńska, która tekst niemiecki składała, celem wcielenia go do generalnego katalogu, z czem się jednak niezmiernie spóźniła. Poza tem, owa unja językowa nie przyszła do skutku także z racji, iż tekst niemiecki przysłano nam już zbroszurowany, co uniemożliwiło połączenie go z polskim.

Wobec tego katalog niemiecki przeznaczono wyłącznie dla obcokrajowców, nasz zaś, w ojczystym języku, drukujemy osobno, i — dodać trzeba — w praktyczniejszym od niemieckiego układzie. Wskaźnikiem w polskim jest arytmetyczny porządek pól od I. do XXVI., przyczem wymieniono nagrody przy odznaczonych trofeach, w niemieckim zaś spisano wystawców alfabetycznie, co utrudnia, zwiedzanie, a o nagrodach niema wzmianki; oddany był bowiem do druku jeszcze przed premjowaniem.

W odniesieniu do premjowania, podaje się do wiadomości, że poza trofeami odznaczonymi w hali konkurencyjnej, będą osobno premjowane okazy godne odznaczenia, które nie były zgłoszone do konkursu.

Wydział wykonawczy gal. komitetu wystawy łowieckiej.

PREZES:

Ks. Lubomirski Andrzej, c. i k. tajny radca, dziedziczny członek Izby Panów etc. etc.

WICEPREZESOWIE:

Hr. Bielski Juliusz jun., właściciel dóbr,
Br. Goetz-Okocimski Jan, właśc. dóbr, poseł na Sejm kraj.

KOMISARZ WYSTAWY:

Drahonowsky Karol, em. dyrektor domen i lasów

SKARBNIK:

Krogulski Seweryn, wiceprezes gal. Towarz. łowieckiego

CZŁONKOWIE:

Cybulski Juliusz, architekt
Dzieduszycki Paweł hr., wł. dóbr
Gorecki Tadeusz dr., adwokat
Kochanowski Cyryl, c. k. radca leśnictwa
Kriser Artur dr., prywat.
Lubomirski Ks. Jerzy, wł. dóbr
Małaczyński Marjan, dyrektor wyższ. szkoły lasowej
Mazurek Paweł dr., profesor gim.
Mniszek Albert z Bużenina, c. i k. podkomorzy, redaktor „Łowca“
Olszewski Józef, dyrektor Ligi przemysłowej
Prek-Borek Henryk, wł. dóbr.
Rejchan Stanisław, artysta malarz, prof.
Schechtel Edward, słuchacz fil.
Sokołowski Stanisław, profesor wyż. szkoły lasowej
Stadnicki Stanisław hr., c. i k. tajny radca, członek Izby Panów etc. etc.
Tabaczkowski Kazimierz, rusznikarz

KATALOG.

Objaśnienia skróceń: Rs. = rekord światowy, Mz. = medal złoty, Nagr. I. II. III. = Nagroda I. II. III.

I. pole.

August Turnau z Dobczyc, wystawia gruby łeb dziczy i 6 par rożków sarnich.

Aleksander Reichard Reichardsperg, tablica z 9 parami rożków sarnich, wśród których środkowe odznaczają się niezwykle bujnem uperleniem. Pomiędzy tymi widnieje potężny ósmak o trzech pniach, jeden z najładniejszych okazów w galicyjskim oddziale.

Karol Scherautz, 12 par kapitalnych rożków sarnich, z których szczególnie cztery nienormalne, przykuwają uwagę widza, mianowicie pierwsza para, kształtu rogów kozich, druga o trzech pniach na niezwykle ukształtowanych możdżeniach, trzecia z gałęzią boczną nad prawą różą, wreszcie czwarta, nierówny ósmak, z pniem prawym skrzywionym, z którego zgięcia wyrastają cztery gałązki.

Stanisław hr. Dzieduszycki, pomieścił w tem polu część z ogólnej liczby żbików, wystawionych także w polach XXI.—XXVI. włącznie.

II. pole.

Stanisław Bromilski, wystawił łabędzia gędźca (C. musicus), zabitego w r. 1910., na stawie czerlańskim, niedaleko Lwowa.

III. pole.

Adolf bar. Brunicki, 20 tablic z 22 parami kłów dziczych, 16 par rożków sarnich zwykłych, 2 pary rożków sarnich syberyjskich, oraz akwarelę Wojciecha Kossaka, przedstawiającą śp. arcyksięcia Rudolfa na jego pierwszem polowaniu na lisy w Lubieniu, w Galicji, dnia 12. września 1886.

Z wyjątkiem dwóch par słabych syberyjskich rożków, wszystkie powyższe trofea pochodzą z okolic podlwowskich.

Władysław Długosz, łeb jelenia dwunastaka, 2 tokujące głuszce, łeb odyńca, 2 niedźwiedzie, ustawione u wejścia do gal. sali.

Wystawca zdobył te pierwszorzędne trofea w Wełdzirzu; niedźwiedzie w marcu 1909., w dwu po sobie następujących dniach. Jeden z tych niedźwiedzi jest okazałym egzemplarzem.

JE. Antoni hr. Wodzicki, wystawia piękny okaz wypchanego rysia.

Ks. **Paweł Sapieha,** trzy szczęki dzicze w niezwykle oryginalnej oprawie.

IV. pole.

Spadkobiercy śp. Andrzeja hr. Potockiego. Krzeszowice, sławne z bogatego zbioru trofeów, wystawiły stosunkowo za mało, bo tylko olbrzymiego niedźwiedzia, głowę rogacza, 12 wieńców jeleni karpackich i 25 par rożków sarnich na 22 tablicach.

Niedźwiedź — znany w szerokich kołach myśliwskich, zalicza się do największych z ubitych w ostatniem 20-leciu w Europie; otrzymał też **Rs.** i **Mz.**

Wieńce dają należyte pojęcie wspaniałości jeleni karpackich. Wśród nich wyróżnia się szczególnie nieregularny szesnastak, umieszczony w środku grupy, wysokością pni i rozwojem gałęzi środkowych.

Rożki sarnie z tego zbioru wzbudzają uczucie zazdrości u myśliwych. Ogólne zainteresowanie wznieca też wystawiony w tej grupie perukarz, lecz ustępuje on pierwszeństwa co do anormalności peruki innego rogacza z tej samej grupy.

Myśliwego-hodowcę zaciekawia też tablica z 4 parami wspaniałych rożków, z racji iż zdobyto je wszystkie na jednym podjeździe.

Trzy pary rożków z r. 1875, 1901 i 1904 odznaczono **Nagr. III.**

IV., V. i VI. pole.

Zdzisław hr. Tarnowski, wystawia w tych trzech polach liczny zbiór trofeów, a mianowicie: łeb jelenia, 14 poroży jelenich, głowę rogacza, 29 tablic z rożkami sarnców, 28 par takichże rożków pojedyńczo oprawnych, 24 par szabli dziczych, wypchanego niedźwiedzia, łeb wilka, 3 tablice z wachlarzami głuszców, tablicę z cietrzewiami, obraz olejny, akwarelę Kossaka i 4 fotografie — treści łowieckiej.

W polu V. umieszczony łeb jelenia i najwyżej wiszące dwa wieńce, pochodzą z niżu sarmackiego, mianowicie z rewirów Końskie w Królestwie Polskiem i są przedstawicielami tamtejszego typu jeleni. Innych 5 wieńców z tego pola są karpackiego pochodzenia. Z nich 18-tak i 12-tak z r. 1908. otrzymały **Nagr. II.**

W środku wiszący wieniec pochodzi z jelenia, którego zarżnęły wilki. Jeden z tych wilków został ubity, a czaszkę jego umieszczono razem z wieńcem jelenia jego łupu.

Pole VI. z wieńcami jeleni nizinnych, z Mokrzyszowa w Galicji, przekonują, że nie ustępują one w okazałości i budowie karpackim.

Akwarela Kossaka w polu IV., przedstawia podjazd na rogacze *linijką*, a 29 tablic z rożkami, zdobycze kilku podjazdów; przyczem się zauważa, że czerwone tablice w polu IV. mieszczą trofea z rewiru Rudnika, tablice zaś w polu V. i VI. z rewirów Dzikowa i Mokrzyszowa.

Największy podziw budzi tablica w polu VI., z 50 parami rożków. Jest to rezultat podjazdu porannego i wieczornego w 6 strzelb z dnia 13-go sierpnia 1904. Fotografia umieszczona koło tej tablicy, daje nam obraz tego królewskiego rozkładu. Tablice powyższe zainteresować muszą fachowca z tego względu, że nie mieszczą w sobie trofeów wyszukiwanych, lecz zdobytych w tych podjazdach; dają więc obraz nietylko bogactwa danych kniej, ale i znakomitej hodowli.

Okazy pojedyncze wykazują znów, jak silne rożki osadzają sarnce w wspomnianych rewirach. Wśród nich są także godne uwagi rożki formy koziej.

Wystawione szable odyńca są ozdobą tego bogatego zbioru, a zaciekawią tem więcej myśliwego, gdy nadmienimy, że dziki te nie padły przed nagonką, lecz na polowaniach z psami *par force*,

uprawianych z szczególnem zamiłowaniem przez wystawcę. Obraz pędzla Kossaka, przedstawia właśnie scenę z tych rycerskich łowów.

Fotografie, dołączone do tablic z głuszcami i cietrzewiami, ilustrują wynik łowów jednego poranka.

VII. pole.

Ks. Jerzy Lubomirski, wystawia piękną bardzo grupę, zawierającą 36 par rożków sarnców, 4 poroża jelenie, łeb dziczy, 3 głuszce i 6 par kłów dziczych, ilustrowaną 3 fotografiami.

Tu zauważyć trzeba, że wystawione wieńce pochodzą z jeleni zwierzyńcowych. Mimo więc, że od zwykłych są o wiele słabsze, to jako takie, odznaczają się piękną formą, barwą i uperleniem.

Z pięknych i silnych szabel, wyróżnia się jeden kieł tem, że niegdyś złamany po środku, zrósł się, przez co nabrał oryginalnego kształtu.

Rożki sarnców są dość okazałe i niektóre z nich odznaczają się niezwykłem ukształtowaniem.

Jan Jędrzejowicz, wystawia w polu tem czarnego bociana.

VIII., IX., X., XI., XII., XIII., XIV., XV. i XVI. pole.

Hugo Mosler, wystawia: 5 łbów jelenich, 35 wieńców, 4 główki sarnie, jedną tablicę z rożkami sarnimi, 54 rożków sarnich, 3 łby dzicze i 4 pary szabel, dalej preparaty: jelenia, 2 rogaczy, koźlęcia, odyńca, 2 niedźwiedzi, 2 głuszców, 2 cietrzewi, cieciorki, 4 frankolinów, 2 orłów, 2 myszołowów, puhacza i 2 sów.

Wystawca ten posiada największy zbiór trofeów, jaki kiedykolwiek był własnością myśliwego zawodowego w Galicji. Wystawione okazy są tylko częścią jego zbiorów.

Z wyjątkiem frankolinów, pochodzących z Kaukazu, wszystkie te trofea zostały zdobyte w Wełdzirzu. W zbiorze wieńców jest tyle okazów interesujących, że niepodobna każdego z nich osobno opisywać, a ograniczyć się trzeba tylko do tych, które są w swoim rodzaju najciekawszymi, a bodaj czy nie unikatami. Takim np. jest na granicy pól X, XI, zawieszony nieregularny czternastak o niesłychanej rozpiętości 151 cm.; takim też perukarz o długości pni 34/44 i o obwodzie róż 35/37 cm. ważący 11·5 kg. **(Nagr. III.).**

Takim wreszcie nierówny dwunastak, którego pień prawy, o formie łopaciastej, jest jakby zwinięty, a pień lewy skarłowaciały.

W tychże polach widzimy dwa krępe, niemal czarne wieńce, o pniach wybitnie ku przodowi zwróconych, w skutek tego, że móździenie leżą nie we właściwem miejscu, lecz nizko na czole.

Interesującym jest też nienormalny dziesiątak bez gałęzi na lewym bardzo długim i smukłym pniu, w przeciwieństwie do prawego, krótkiego i zmarniałego, o znamionach szóstaka.

Na pilastrze ściany między polem VIII. a IX. zawieszony jest pięknie uperlony, czarny prawie wieniec, nie bardzo silnego czternastaka o 4 bojowych gałęziach na każdym pniu (Maral). Okaz zajmujący dla badających pochodzenie karpackiego jelenia.

W polu tem zwracają wreszcie uwagę piękne kły dzicze i tablica z rożkami sarnimi, wykazująca bardzo ciekawe myłkusy.

(Nb. Cały zbiór leśniczego Moslera jest do sprzedania).

Bronisław Kwaśniewski, wystawia wśród tego zbioru (XII.) białego lisa, albinosa.

XVI., XVII., XVIII., XIX. i XXI. pole.

Władysław ks. Sapieha, cztery akwarele i obraz olejny pędzla Juliusza Kossaka; akwarele przedstawiają sceny z polowań w Karpatach, z biorącym w nich udział śp. ks. Adamem Sapiehą.

Jan Jędrzejowicz, wystawia w polu tem — orła.

XVII. pole.

JE. Stanisław hr. Stadnicki, wystawia wieniec jelenia, 3 łby dzicze, 150 par rożków sarnich.

Wieniec jeleni jest niezwykle rzadkim okazem wstecznego widłaka.

W przebogatym tym zbiorze rożków, z powodu szczupłości miejsca niestety zanadto ścieśnionym, widzimy najrozmaitsze formy i typy, a między nimi okazałe ósmaki, dziesiątaki i myłkusy w takiej liczbie, że szczegółowego ich opisu katalog nie zmieści.

Zbiór ten sam świadczy o wzorowej gospodarce łowieckiej w kniejach wystawcy. Poza tem, godnym zaznaczenia jest fakt, że i polowe rewiry tego znakomitego myśliwego-hodowcy roją się stadami sarn. Ich stałą ostoją są wyłącznie pola, skąd najsroższe mrozy, ani nawalne śniegi do lasu ich nie spędzą. To też, podczas polowań kociołkowych na zające, pada w jednym dniu do 30 sarnców (rogaczy).

XVIII. i XIX. pole.

Państwo Skole (własność bar. Groedlów), wystawia 17 wieńców jelenich, 4 pary zrzutów jelenich, 12 par rożków sarnich, a w preparatach 2 rysie, orła, puhacza, 2 skóry rysie, 2 skóry wilcze, mapę poglądową i tablicę odstrzału.

Grupa wystawionych wieńców reprezentuje wszystkie odmiany jeleni karpackich. Wśród tych trofeów pierwszorzędnej wartości zwraca uwagę szesnastak i anormalny czternastak w polu XVIII., jak również pięknie ukształtowany dwudziestak w polu XIX.

Między zrzutami, pnie łopaciaste budzą ogólny podziw.

Główną atrakcją wystawy Skolego są dwa jelenie, wypchane w pozycji bojowej, znakomicie przedstawione.

Widzenia godne są też oba wypchane rysie, oraz skóry rysie z wyraźnem i pięknem centkowaniem.

XX. i XXI. pole.

Dr. Tadeusz Sołowij, wystawia wieniec „mocnego“ szesnastaka, o regularnych i bardzo grubych pniach i gałęziach rzęsiście uperlonych, o pięknych różach. — Waga poroża 9·60 kg.

Jest to idealny typ jelenia karpackiego. Trofeum to zdobył wystawca sam, w własnym rewirze, w Bachlowej, pow. Lisko. Szkoda, że umieszczono je zbyt wysoko, na czem wiele tracą.

Gustaw Müller, wystawia wieniec jelenia i kolekcję nienormalnie ukształtowanych rożków sarnich, umieszczonych na 57 tablicach.

Zbiór ten kilkakrotnie premiowany, posiada wielką wartość naukową, gdyż wykazuje przyczyny nienormalności rożków, faktycznie sprawdzonych na podstawie sekcji.

(Nb. Zbiór ten jest do sprzedania).

Marjan Jędrzejowicz, w tych samych polach parę pięknych i silnych kłów dziczych.

Janusz ks. Radziwiłł, trzy okazałe łby dzicze i kolekcję pięknych rożków sarnich. Na szczególną uwagę zasługuje zwłaszcza para rożków szóstaka umieszczona na stole w polu IV. Wysokość ich wynosi 29·5 cm., obwód róż 21 cm. **Nagr. I.**

Rożki te pod względem uperlenia i ukształtowania nie mają równych sobie na wystawie, choć pod względem grubości ustępują miejsca rożkom z Nienadowej (XXV. i XXVI. pole).

Jan bar. Goetz-Okocimski, wystawia wypchanego wycinka i łeb nierównego 16-ka wraz z porożem, niezwykłej okazałości.

Karol hr. Lanckoroński, czaszkę kapitalnego rogacza, szóstaka, ubitego w roku 1900 przez hr. Lanckorońską.

XXI., XXII., XXIII., XXIV., XXV. i XXVI. pole.

Stanisław hr. Dzieduszycki, wystawia 10 żbików, ubitych w Sokołowie koło Stryja.

Mimo ustawicznego tępienia tych drapieżników, ściąga je, zwykle w zimie, gdy rzeki staną, z okolicznych wielkich obszarów leśnych, bażantarnia sokołowska.

XXII. i XXIII. pole.

Marjan Borecki, wystawia 20 par rożków sarnich, między którymi jest kilka myłkusów. Największą jednak wartość posiadają rożki starego rogacza, o formie szpiczaka, pięknie uperlone, o 27 cm. wysokości, i o 15 cm. w obwodzie róż.

Konrad Ungnad hr. Weissenwolf, w tych samych polach, 6 wieńców jelenich. Wśród tej wspaniałej kolekcji karpackich trofeów z Wetliny należy się bezsprzecznie pierwszeństwo potężnemu 20-kowi, wystawionemu w polu XXIII.

XXIII. pole.

Dr. Adam Lardemer, wystawia wypchanego dzika białego, ubitego zeszłej zimy w Niepołomicach.

XXIII. i XXIV. pole.

Franciszek Tschapek, wystawia parę rożków regularnego szóstaka z wybujałościami perłowemi i daszkowatemi różami.

Stanisław Kumor, w tych samych polach, parę pięknych i silnych rożków szóstaka wysokości 28 cm. i 18 cm. obwodu róż,

mimo, że róże daszkowato zwisają ku dołowi. Rożki te są jedne z okazalszych na wystawie.

J. E. Dr. Witołd Korytowski, wystawia okazały, pięknie spreparowany łeb odyńca, ubitego przez siebie 24. lutego 1896 w Toporowie.

Juljusz Kownacki, 8 par rożków sarnich i 4 zrzuty. W kolekcji tej wyróżniają się oryginalnem uperleniem i kształtem róż, rożki nieregularnego ósmaka. **(Nagr. II.).**

XXV. i XXVI. pole.

Juljusz hr. Bielski i Stanisław hr. Mycielski, wystawiają 3 pary szabel dziczych i parę rożków sarnich. Szable dzicze, zdobycz hr. Juljusza Bielskiego, pochodzące z niziny Dniestru, są przepotężne. Opatrzone datą 1889. odznaczają się olbrzymią długością 24 cm. **(Nagr. I.),** drugie zaś z roku 1906., nadzwyczaj grube, **(Nagr. II.).**

Rożki sarnca, ubitego w r. 1896, własność Stanisława hr. Mycielskiego, pochodzące z Nienadowej, (ziemia przemyska) budzą powszechny zachwyt, jako najwspanialszy okaz na wystawie. Ich długość wynosi 31·5 cm.; obwód lewej, silniejszej róży 21 cm.! Słusznie też odznaczone zostały **Rs. i Mz.**

Dr. Artur Kriser, wystawia w tychże polach łeb jelenia, 11 wieńców, 3 pary rożków, łeb wilka i skórę rysia. Trofea te pochodzą z dóbr Kruszelnica w górach stryjskich i z wyjątkiem rysia i wilka, zdobyte zostały przez wystawcę. Wszystkie te wieńce są wspaniałymi okazami, a dwa z nich, 18-tak i 16-tak, zasługują na baczniejszą uwagę. Pierwsze jednak miejsce między nimi zajmuje wspaniały łeb jelenia, o wieńcu silnego i pięknego dwunastaka, dającego wyobrażenie, jak zwierz ten musiał być ogromny. Wieniec 18-taka wyszczególniono. **(Nagr. II.).**

Na osobnych sztalugach wystawili:

Adam Fedorowicz, nieregularny, niezwykle ukształtowany wieniec jelenia *dwudwudziestaka*, u którego gałęzie oczne, niepomiernie w stosunku do nadocznych rozwinięte, jakoteż gałęzie środkowe, zwracają uwagę.

Ks. Henryk Liechtenstein. Na pięciu sztalugach w środku sali ustawionych, umieszczono 8 wieńców jelenich i 2 pary zrzutów. Jestto wybór bogatego zbioru trofeów, pochodzących z dzierżawionych przez wystawcę, rewirów rządowych w Nadwórnie. Wśród tych pierwszorzędnej wartości okazów, odznaczają się szczególnie niżej na sztaludze zawieszone, imponującymi rozmiarami i pięknem uperleniem. Na uwagę znawcy zasługuje nieregularny szesnastak o 4 gałęziach bojowych z każdej strony, przypominający zatem formę wieńca jelenia marala (C. maral). Z tej grupy jeden czternastak otrzymał **Nagr. I.**

Sztaluga z dwoma wspaniałemi porożami, oznaczona nazwiskiem „Rudolf Pick“ jest świadectwem niezwykłego spotkania, jakie miał w Nadwórnie art. malarz Pick; położył on bowiem dwa jelenie celną dwójką (*coup double*), gdy walczyły w miłosnym szale o nagrodę dam!...

Józef Jankowski i Tadeusz Mokłowski, architekci lwowscy, wyłożyli na stołach 2 plany schroniska karpackiego Towarzystwa narciarzy, widok domku myśliwskiego, 2 plany domu wiejskiego, 3 plany koleby, 3 plany zamku myśliwskiego.

Projekty te są bardzo szczęśliwie rozwiązaną próbą odtworzenia dawnego stylu polskiego, przechowanego do naszych czasów w fragmentach zabytków architektonicznych. Wyróżniając się swoim charakterem, zwróciły nawet uwagę cesarza.

Myśliwskie Towarzystwo lisowickie, wystawia w polu XVII. dwie księgi (kroniki polowań) i na osobnej sztaludze tablicę corocznego odstrzału.

Towarzystwo to założone w r. 1871., na mocy wówczas zatwierdzonego statutu, istnieje do dnia dzisiejszego. Dzierżawi ono prawo polowania w rządowych rewirach Lisowice, Taniawa i Bolechów.

Księgi zawierają protokoły polowań od dnia założenia, tablica zaś uwidocznia statystykę odstrzału przez cały ciąg istnienia Towarzystwa.

* * *

Osobno wystawił p. **Hipolit Frommer** domek myśliwski (kolebę) własnego pomysłu, który łatwo i szybko daje się ustawić i rozebrać. Praktyczny ten wynalazek podobał się cesarzowi, w którego obecności konstruktor dokonał rozebrania i ustawienia tego przenośnego schroniska.

* * *

Nie wystawili, pomimo zgłoszenia trofeów pp: Nowosielecki Kazimierz, Próchnicki D., Treczka Zygmunt i Wattman bar. Hugo.

* * *

Na tem kończymy katalog w „Łowcu“ dla ogółu myśliwskiego naszego kraju, nadmieniając, że wystawcy otrzymają go w osobnej odbitce zbroszurowanej, jako upominek gal. Komitetu wystawowego.

„Łowiec Polski“

Łowiectwo w Polsce.

Podług szeregu artykułów, zamieszczonych w „Gospodarstwie łowieckiem“ Mikołaja Reumanna, urzędnika do szczególnych poruczeń przy komisji rządowej przychodów i skarbu (1845 r.), z uzupełnieniami według innych źródeł historycznych.

(Ciąg dalszy.)

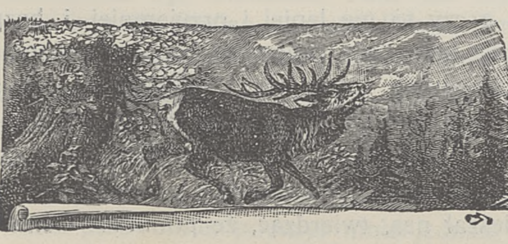
Łowiectwo do XIV. wieku.

Takim zwolennikiem myśliwstwa i mistrzem w ułaskawianiu i wyuczaniu różnych zwierząt, był Jan Chryzostom Pasek, szlachcic ziemi krakowskiej, żyjący w wieku XVII. (patrz reszty rękopisu Jana Chryzostoma Paska, wydane w Wilnie 1893 roku, z egzemplarza, znajdującego się w Cesarskiej bibliotece w Petersburgu, obejmującego kronikę od roku 1656 do 1688), uważany dla swej zręczności i znajomości w sztuce łowieckiej przez swych sąsiadów za czarnoksiężnika, któremu wszelki zwierz był posłusznym, jak to sam w swoim rękopiśmie żartobliwie przytacza. Ponieważ jego myśliwskie podania objaśniają ówczesne zwyczaje, skłonności i namiętne oddawanie się sztuce łowieckiej, niemniej charakter narodowy, więc przytaczamy opis autora, słynnej w sztuce łowiectwa wydry przez samego Paska wyuczonej, oraz jego myśliwstwa.

„Przysłał (słowa autora) do mnie Król Imść Pana Straszewskiego, sługę swego z listami, prosząc najmocniej o darowanie wydry, którą chowaną miałem tak rozkoszną, że wolałbym był część substanciej mojej dać, niżeli onę, bom ją tak kochał. A najpierwszej Król dowiedział się tam od kogoś o tej wydrze, że jest z takiemi a takiemi przymiotami wydra u jednego szlachcica w województwie Krakowskiem, ale niewiedziano do kogo prośby ordynować. Najpierwej tedy Pan Koniuszy Koronny pisał do Pana Bełchackiego, co potem został viceregentem krakowskim, żeby się dowiedział, u kogo się taka znajduje wydra, i jak ją zowią. Więc, że to była wydra sławna na całe województwo krakowskie, a potem i na całą Polskę, dowiedział się Pan Bełchacki i dał wiadomość, że u mnie jest. Dopieroż tedy ucieszył się Król nadzieją, mówiąc, że „mnie pan Pasek dawno znajomy, wiem, że mi jej nie odmówi“ i przysłał Pana Straszewskiego z listem. Pisze, oraz Pan Koniuszy Koronny, pisze, Pan Pisarski Adrijan, krewny mój, dworzanin królewski, żebym tego podarunku Królowi nie odmawiał, gdyż się to nagrodzi wszelką łaską i respektem Króla Imści. Przeczytawszy listy, zacudowałem się: kto to tam o tem zwiastował? i pytam: „Dla Boga! cóż to Królowi Imci potem?“ Powiedział poseł: że bardzo Król Imść żąda i prosi. Ja dopiero: że niema tej rzeczy u mnie, coby miała być odmówiona Królowi Imści. Ale mi było tak miło, jakby mnie ostrem grzebłem po gołej skórze drapał. Posłałem więc do browarnego arendarza, żyda, żeby rękawa wydrzanego przysłał mi. Który, gdy przyniesiono kładę mu na stół i mówię: „Otóż Waść masz prędko

expedycyją", Ów patrzy i mówi: „A żywa to ma być i pieszczona, o którą Król Imść uprasza". Ja tedy pożartowawszy, jużem się musiał prezentować, a że jej nie było w domu, tam się gdzieś włóczyła po stawach, napiwszy się wódki, wyszliśmy na łąki; począłem wołać ją przezwiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła się koło mnie łasić, a potem i poszła za nami do izby. Zdumiał się Straszewski i mówi: „A dla Boga! jakże to Król tego ma nie kochać, kiedy to tak łaskawe". Odpowiadam ja: „To Waść tylko samą łaskawość widzisz i chwalisz, ale dopiero bardziej chwalić będziesz, gdy zobaczysz jej cnoty". Poszliśmy nad staw, stanąwszy na grobli i mówię: „Robak! trzeba mi ryb dla gości, hul w wodę". Wydra poszła, wyniosła najpierw płocicę; drugi raz kazałem, wyniosła szczupaka małego, trzeci raz wyniosła półmiskowego szczupaka, trochę go tylko na karku obraziwszy. Straszewski się za głowę porwał „dla Boga, co ja tu widzę!" Mówię tedy „Każesz Waść więcej nosić? to ona póty będzie nosiła, póki nie będzie zadosyć; trzeba ryb cebra, nanosi ona, bo ją sieć nic nie kosztuje". Straszewski rzecze: „Już wierzę, kiedy widzę, gdyby mi zaś kto powiedział, nie wierzyłbym". Chwycił się bardzo Straszewski tego, i zgodził się, że to z mniejszym nierównie będzie jego kłopotem; wszakże, żeby Królowi umiał opowiedzieć jej przymioty, póki nie odjechał, pokazałem wszystkie jej umiejętności, które były takie: najpierw za mną sypiała w pościeli, a była taka ochędożna, że nietylko w pościeli źle nie uczyniła, ale pod łóżkiem nic, ale poszła do jednego miejsca, gdzie jej stawiano skorupę, i tam dopiero odprawowała swój wczas. Druga, stróż taki w nocy, Panie zachowaj do łóżka przystąpić; chłopcu ledwie pozwoliła buty zzuć, a potem już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że się musiał obudzić, choćby najtężej spał; a kiedym był pijany, to ona po piersiach deptała, wrzeszcząc jak długo, że obudziła, gdy kto koło łóżka przechodził; a w dzień zaś spała tak, rozwaliwszy się gdziekolwiek, że choć ją na ręce wziął, to oczów nie rozdziewiła: tak bestyja konfidowała człowiekowi. Surowej ryby, surowego mięsa, nie chciała jeść; nawet kiedy w piątek, albo w post uwarzono jej kurczę, albo gołębia, a nie włożono pietruszką i nie dano tak, jako należy, to nie chciała jeść. Rozumiała też tak, jako owo i pies: „nie daj ruszyć". Kiedy mnie kto poszarpnął za suknie, a rzekłem, rusza, to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknię, za nogi, równo z psem, którego też jednego tylko kochała; zwał się Kapreol, niemiecki, kosmaty, i u niego wszystkiego się nauczyła, i inszych sztuk; z tym psem tylko swoją miała komitywę (towarzystwo), że to i w drodze był z nią wespół; inszych psów nie lubiła, i jak do izby przyszedł, zaraz go wycięła, choćby był najroślejszy chart.

(C. d. n.)



ALBERT MNISZEK.

O strzelaniu śrutem.

(Długa, czy krótka lufa. — Kaliber i waga. — Chocke, a lufa cylindryczna. — Przyczyny pudeł. — Sposób pomiaru strzelby. — Wzrok i jego właściwości; strzelanie z oczyma otwartemi. — Zakładanie. — Fizjologia strzelania. — Ostrość i szybkość strzału według Deinerta.

Odkąd sztuka fotograficzna osiągnęła takie wydoskonalenie, że dokonywa zdjęć z przedmiotów będących w błyskawicznym ruchu, jak n. p. iskra piorunu, lub wyrzucony z broni palnej pocisk, gdy otrzymać można na filmie jak najdokładniejszy obraz strzału śrutowego, t. zw. różę *(la rosace)*, wiele kwestji zawiłych i niedocieczonych w dziedzinie balistyki odrazu się wyjaśniło.

Dziś możemy dokładnie oznaczyć wpływ rozmaitych czynników, jak długości i budowy lufy, jakości przybitki, gatunku prochu, stosunku wagi tegoż do wagi śrutu i wielu jeszcze innych, na gęstość i ostrość strzału śrutowego.

Stacje doświadczalne broni palnej zebrały w tym względzie niezwykle bogaty materjał, z którego szczodrze może korzystać technika w udoskonalaniu myśliwskiej broni.

Przy sposobności badania zdolności strzelniczych nowego modelu samoczynnego Browninga śrutowego kal. 16., stacja doświadczalna broni myśliwskiej w Neumanswalde, przeprowadziła szereg prób, zastosowując do tej broni, lufy najrozmaitszej długości. Impuls do tych doświadczeń dali niektórzy niemieccy myśliwi, którzy co do wartości myśliwskiej tej nowej broni popadli w sceptycyzm, z powodu, że model ten opatrzony jest w nader krótką, bo tylko 64 cm. lufkę.

Próby zaczęto od 84 centymentrowej lufki, a skończono na 50 centimetrowej t. j. na krótszej o 14 ctm. od normalnej.

Pomówimy o tych doświadczeniach obszerniej, wiadomo bowiem, że wielu myśliwych naszych przykłada do długości lufek broni śrutowej wielką wagę, sądząc, że dłuższe dają lepiej skoncentrowaną różę śrutową.

Przypatrzmy się najpierw stronom praktycznym luf krótkich i długich, między któremi jako normalną granicę, oznaczyć możemy długość 70 cm.

Broń o lufie krótszej jest bezwzględnie składniejszą i lżejszą, posiada więc zalety dla myśliwego i strzelca niezmiernej wagi, broń natomiast o lufie długiej jest zwykle cięższą, mniej składną, wskutek czego nie tak prędko można z niej wziąć na cel dany przedmiot, jak z broni krótszej. Usterki za to w zbaczaniu z linji celu na prawo lub lewo w celowaniu, są drobniejsze przy lufie długiej, łatwiej się ich bowiem ustrzedz można, gdy linia celowania po lufie (wizyrowa) jest dłuższą. Ta jednak zaleta, o ile przy sztućcu ma swą praktyczną wartość, o tyle w śrutówce jest dość drugorzędną, usterki bowiem, o których mowa są przez rozrzucanie śrutów neutralizowane. Otóż zewnętrzne, praktyczne zalety, przemawiałaby za lufką krótką. Zobaczmy więc teraz, czy próby fachowe wykazują u lufki długiej takę nad krótszą wyższość, by myśliwi mimo praktyczności tej ostatniej, mieliby więcej szans myśliwskich używując pierwszej.

Do prób tego rodzaju najlepiej nadaje się lufka pojedyncza, maszynowej roboty, z szczególnem uwzględnieniem sposobu wiercenia, a taką właśnie jest lufka browningowa.

Otóż próby wykazały, że nawet przy 85 cm., a więc nadmiernej długości lufy, przy użyciu bezdymnego prochu, zyskuje się tylko nieco większą chyżość początkową śrutów, natomiast użycie tychże daje na tarczy różę tej samej objętości i gęstości co przy użyciu lufy normalnej.

Twierdzenie, że długość lufy wpływa na koncentrację śrutów, pochodzi jeszcze z czasów, w których znano tylko lufy cylindryczne i proch czarny i miało wtedy pewną rację. Przy prochu bezdymnym, jako materjale bardzo szybko się spalającym, lufa długa jest niepotrzebną i nie może wpływać w tej mierze na krycie śrutowe, by widoczną robić mogła różnicę, gdy proch czarny wolniej się spalając, potrzebował do uskutecznienia swego dzieła i zyskania maximum energji, większej przestrzeni, a więc dłuższej lufy.

Co do większej chyżości, stwierdzonej przy długiej lufie, to między 70 a 64 cm. lufą wynosi ona $2^1/_2$ ms., a więc tak małą czyni różnicę, że w praktyce znaczenia niema.

Ponieważ niektórzy sądzili, że 64 cm. lufka, jaka jest przy Browningu kal. 16. jest już ostateczną granicą dla luf krótkich, że więc od tychże krótsze są już bezużyteczne, zrobiła wspomniana stacja próby z anormalnie krótszą, bo tylko 50 cm. lufką.

Otóż doświadczenia te wykazały, że krótka ta lufka daje mniejszą, ale zawsze jeszcze normalną chyżość początkową śrutu, różę zaś przy cienkim śrucie daje tak samo dobrą jak lufka 64 cmtrowa, przy śrucie zaś grubszym (od Nr. 6 począwszy) róża śrutowa pozostawia dużo już do życzenia.

Widać więc, że miara 50 cm. lufki nie jest jeszcze ostateczną granicą jako najkrótszej i że poniżej tej długości zejść jeszcze można bez szkody dla strzału, zważywszy i to, że tenże silnym „chockem“ da się jeszcze skoncentrować.

Stacja w Neumanswalde oświadcza wreszcie, że w zbliżającym się sezonie będzie robić praktyczne próby w polowaniach na kuropatwy z Browningiem o 50. cmtr. lufce gdyż twierdzi, że zalety lufki krótkiej są tak wielkie, iż przewyższają jej wady, jak krótkość linji wizyrowej i nieznacznie słabsza siła przebijania śrutów.

Jak już wspomnieliśmy wyżej, wiercenie „chocke“ lufki, zastępuje poniekąd rolę, jaką dawniej przy lufie cylindrycznej i przy strzelaniu prochem czarnym grała większa jej długość, to znaczy, że dzięki temu sposobowi wiercenia zyskuje się na gęstości strzału, a więc na łepszej róży śrutowej. (C. d. n.)

Z wycieczki do guberni archangielskiej.

(Ciąg dalszy).

II.

Rozłożono więc ogromne ognisko, aby przy jego blasku i cieple zdjąć skórę; w międzyczasie nasi ludzie przyglądali się ciekawie ubitej sztuce. Jeden z Moskali, któremu niedawno porwał niedźwiedź jakąś sztukę bydła, rzucił się nań, aby wywrzeć swą zemstę; sposób w jaki to czynił, dał wymowne świadectwo dzikości i nizkiego stopnia kultury tutejszych mieszkańców.

Nasz przewodnik pozostał przy ludziach, my zaś z Wasylem i jednym Moskalem, postanowiliśmy pójść naprzód, aby dotrzeć do sań, zanim zapadnie noc.

Wspomniawszy o Wasylu, muszę nadmienić, że mój towarzysz wziął ze sobą, zamiast służącego, strażnika swoich polowań górskich, młodego i sprytnego Hucuła, obawiał się bowiem, całkiem słusznie, że pierwszy lepszy miejski służący, nie podołałby trudom naszej wyprawy.

Wasyl, przebrany po europejsku, aby nie ściągał uwagi gapiów swoim narodowym strojem, spisywał się wszędzie dzielnie i był nam bardzo pomocny. Jeździł też wprawnie na nartach, czego mu szczerze zazdrościłem, a obecność jego i z tego jeszcze powodu bardzo była miłą, że nieraz sprawiał nam prawdziwą uciechę, wypowiadając przy różnych okolicznościach swe „indywidualne“ poglądy wogóle na świat i rzeczy jego...

Ruszywszy w drogę trzymaliśmy się naszych pierwszych śladów, aby nie zbłądzić. Jednakże, po przebyciu kilku zaledwie wiorst, skutki tej przezorności poczęły się stawać coraz bardziej problematyczne, bo na przestrzeniach nie porosłych drzewami, śnieg zawiał zupełnie nasze ślady.

Nie umiejąc na dobitkę dobrze jeździć na nartach zaczepialiśmy co chwila o niepozorne nawet przeszkody i padaliśmy naprzemian; taki upadek zaś jest znacznie gorszy niż upadek na wolnych nogach, nogi bowiem utrzymują się dzięki nartom na powierzchni, a głową ryje się w miękki wprawdzie, ale zimny i mokry śnieg. Poza tem każdy taki niedobrowolny tric gimnastyczny zabierał dużo czasu, a co gorsze i sił, tem więcej, że przez ustawiczne niedosypianie i marne odżywianie się, złożone tylko z herbaty i sucharków, byliśmy trochę wyczerpani.

Mój towarzysz, niezwykle rutynowany i otrzaskany z wszelkiemi przygodami myśliwy, ratował i tym razem sytuację. Mając z sobą lampkę elektryczną, przyświecał w gęstwinach, salwując całość naszych głów i upewniając się czy nie schodzimy z dobrej drogi. Pomoc ta niestety, jak każda zresztą przyjemność — trwała bardzo krótko, gdyż przy jednym z licznych upadków, lampka wypadła na śnieg, a pomimo długiego i cierpliwego, z prawdziwem zaparciem się przedsięwziętego poszukiwania, tracąc czucie w rękach z zimna, nie mogliśmy jej odszukać.

Ogarnęła nas ciemność i obawa, że zbłądzimy. W takim wypadku oczekiwała nas konieczność — bardzo niewesoła — nocowania w lesie o głodzie i chłodzie. Żałowaliśmy też po niewczasie, że odłączyliśmy się dość lekkomyślnie od pozostałych ludzi.

W niewesołem rozmyślaniu nad przyszłością najbliższych godzin, przypomniały mi się słowa mego kupca zboża, który dowiedziawszy się o mojej zamierzonej wyprawie, uważał za stosowne dorzucić i swoją cegiełkę do tego dzieła, mówiąc:

„Nu, a czy to nie lepiej i przyjemniej i bezpieczniej czytać sobie taki opis polowania z ilustrowanej gazety, siedzieć na kanapie spokojnie i wygodnie, niż samemu pojechać, fatygować się i mieć coś do czynienia z takiemi szkaradnemi zwierzętami jak niedźwiedzie?...“

Rozmyślania te przerwał głos przewodnika Moskala, który pocieszał nas, twierdząc, że pomimo ciemności dobrze wyprowadzi. Upewnienia jego uspokajały nas istotnie, gdyż przedtem już mieliśmy sposobność podziwiać wręcz

zdumiewający zmysł orjentacyjny, tego prawdziwego syna przyrody.

Mimo to, niepewność czy dobrze idziemy w ciemności tak gęstej, że ciągle musieliśmy się nawoływać, aby ktoś z nas nie odłączył się i nie zbłądził, — męczyła moralnie, a wysilająca jazda na nartach, wśród drzew, zarośli i przeszkód, wyczerpywała fizycznie, utrudniając i tak już dość groźne położenie. Posuwaliśmy się jednak w milczeniu, by sobie nie odbierać otuchy.

Jakoż zbawienie wkrótce miało nadejść.

Po kilkunastu bowiem krokach, doleciał nas zapach dymu; znak to był niezawodny, że — dzięki naszemu batiuszce — szliśmy w dobrym kierunku. Ogarnął nas nowy duch, bo wiedzieliśmy, że zbliżamy się do ognisk, rozłożonych przez naszych ludzi, pozostałych przy saniach. Że jednak — jak słusznie głosi wschodnio-galicyjska księga przypowieści — „koždaja ricz maje swoju szatenzajtu“, więc i tu się pokazało, że złudził nas wiatr, zanoszący dym od ognisk, niestety dość jeszcze odległych. Zmordowaliśmy się też srodze, zanim o 9. wieczór, — tu możnaby śmiało powiedzieć, w nocy — stanęliśmy na miejscu.

Nasz spacer na nartach trwał zatem 7 godzin, co nawet dla wprawnego jeźdźca jest wcale szanowną ilością czasu...

Złożywszy broń i uwolniwszy nogi z nart, rzuciliśmy się nawpół skonani do kibitek, nie bacząc, że jedynem siedzeniem były gołe deski. Wszystko siano bowiem, jakieśmy mieli na wyściółkę wózków, zjadły konie.

Niespełna w godzinę wróciła nagonka i przewodnik ciągnąc skórę z niedźwiedzia. Miny tych ludzi były naprawdę „istinno russkie“, poprawiły się jednak bardzo znacznie na widok baryłki z „monopolem“. Przy ognisku rozbito ją też z rozwagą a jednak z pośpiechem godnym uznania i bardzo starannie wypróżniono jej zawartość, poczem dopiero ruszyliśmy w dalszą droge.

O godzinie drugiej po północy byliśmy z powrotem u Wereszczagina w Rogowo. Po wypiciu herbaty, udaliśmy się na bardzo krótki wypoczynek, aby nadążyć jeszcze do najbliższej stacji w Niandowo. Stanęliśmy tam o czwartej po południu, zajechawszy do chaty niejakiego Zarubina, gdzie zostawiliśmy byli nasze rzeczy i gdzie mieliśmy otrzymać dalsze wskazówki i wiadomości. Wiadomości istotnie były, toczyły się więc narady gdzie pojechać: chodziło bowiem o wybór takiej okolicy, w którejby w niewielkim promieniu było kilka upatrzonych misiów. Nauczeni doświadczeniem i czując reminiscencje jazdy nartami we wszystkich kościach, dowiadywaliśmy się też dokładnie, ile gdzie drogi na nartach trzeba przejechać. W ogólności musieliśmy pamiętać o każdym szczególe, bo naszemu przewodnikowi Niemcowi, zaufać nie mogliśmy.

Był to ciekawy, a raczej bardzo nieciekawy typ, jaki można spotkać jedynie w Rosji, tam tylko bowiem, dzięki czynnikom panującym, perełka taka może się ulęgnąć.

Z narodowości był Niemcem, miał też czysto niemieckie nazwisko; dla Rosjan nazywał Dmitri Dmitrowicz, i naprzemian był ewagelikiem lub prawosławnym.

Ta cudowna zdolność zmieniania się do cna, zdziwiła mnie mocno ale i rozrzewniła, bo przypomniała mi naszą galicyjską ojczyznę, w której niektórzy z naszych najserdeczniejszych, żeby nie mówić o pośle Dn., mają taki sam dar. Nasz przewodnik pouczył mnie jednak, że czyni się to zgoła bez użycia sił nadprzyrodzonych, a tylko dla „praktyczności“.

Najgorzej wyszliśmy z wiktuałami, o które miał się postarać ów praktyczny Dmitri Dmitrowicz. Były one bowiem tego rodzaju, — szczególnie konserwy — że woleliśmy nie kusić przeznaczenia i zdrowia naszych żołądków próbie nie poddawać.

Wiktuałami zaś, które przezornie zamówiliśmy sobie z Petersburga, zaopiekował się Dmitri tak gorliwie, że biedaczysko „zapomniał“ wyładować je z wagonu na ostatniej stacji, dzięki czemu nie oglądały ich więcej oczy nasze. Na szczęście mieliśmy masło, herbatę i sucharki — i to uratowało nas od głodu.

Wracając do naszych narad, postanowiliśmy odjechać do Wandysza i stamtąd odbyć ekspedycję do kilku gawr niedźwiedzich.

Szczegółów tej wyprawy — nie będę jednak opisywać. Opisym bowiem ilości niedźwiedzi ubitych, strzały do nich i t. p. mogą mieć wartość jedynie dla mnie; czytelników zaś mogłyby zniewolić do okrzyku ze znanej anegdoty myśliwskiej: „Panie! Jak pan się ośmieli jeszcze jednego zrulować — to już walę!...“ W następnym więc artykule opiszę tylko przygody podróży, jakie mnie w powrocie spotkały.



CAMILLO MORGAN.

Wspomnienia myśliwego z Hiszpani.

(Dokończenie).

Na widok dwóch młodych rysi opanowało mnie dręczące pytanie: Czy miałem do nich strzelać, czy też czekać jeszcze na pojawienie się starych? Tu byłaby się przydała dobra rada! Przepuszczę oba młode, nie strzelając do nich, to gotowe potem stare nie pokazać się, i będę się potem zżymał, że przepuściłem nawijającym się mi młodym. Wreszcie złożyłem się dobrze i pocisnąłem za cyngel. Błysk, huk, — i dym zaczął się zwolna rozchodzić po zrębie. W trawie leżały oba rysie, zabite jednym pociskiem, który jednemu przeszył serce, drugiemu

płuca. Kilka jeszcze tylko drgnień kończyn, lekkie, ledwo dosłyszalne prychnięcie przez nozdrza, i oto legły oba ciche i nieme, porwane przez śmierć bezlitosną w zaraniu ich życia. Skowronek — kolauder, najlepszy śpiewak Hiszpanii, łączący w swej pieśni tony słowika, kosa i ziemby, wzbijał się właśnie w niebiosa i śpiewał im pieśń żałobną!

Ponieważ Don Esteban, jako doświadczony łowiec rysi, usilnie mnie przestrzegał, bym w razie dojścia do strzału do rysia, bezwarunkowo wytrwał na stanowisku, zrobiłem to więc. Rysie pardelowe bowiem, podobnie jak nasze lisy, przywarowują często po strzale, aby wyszukać potem zastrzeloną przez myśliwego zwierzynę. Lecz moja wytrwałość nie została wynagrodzoną. Słońce stało już wysoko na niebie, muchy i muszki znęcały się wprost nademną, lecz nie ukazał się już żaden ze starych drapieżców. Wtem mogło już być koło południa — padł w stronie, gdzie stali Don Esteban z baronem — strzał.

„Dzięki Bogu!“ — powiedziałem sobie. „Przynajmniej pewnie Franciszek dostał w swoje ręce jednego ze starych“. Podniosłem się więc zwolna z ziemi, przeciągając znużone członki, i wziąwszy strzelbę do lewej ręki, zacząłem iść przez zrąb. W tej samej chwili wyskakuje przedemną duże jakieś zwierzę, które niewątpliwie przywarowało w wysokiej trawie o kilka kroków odemnie, i potężnym susem znika w zbawczej gęstwinie. Dostrzegłem tylko jeszcze, że był to duży ryś, niewątpliwie rysia mama.

Piekło zawrzało w mojej duszy! Omal, że nie zacząłem sobie wyrywać moich bujnych jeszcze wówczas loków, taka mię złość na siebie i rozpacz porwała. Na nic się to jednak nie przydało; rzecz była nie do zmienienia. Gdybym był choć z kwadrans jeszcze wytrwał! Może przecież rysica była się zdecydowała wypełznąć na zrąb! Pokrzepiała mnie jeszcze nadzieja, że wypłoszone zwierzę wpadnie pod lufę barona, gdyż w tamtym kierunku uciekło. I nie pomyliłem się; wkrótce zagrzmiał tam wystrzał, i w chwilę potem rozległa się w lesie głośna rozmowa Don Estebana z baronem. W kilka minut potem zjawili się oni sami na zrębie.

„Trafiłeś go, czy spudłowałeś?“ — było moje pierwsze pytanie, wzrócone do barona.

„Farbował, i to tęgo“, odrzekł zapytany. „Dał nura jednak, i jak Don Esteban zapewnia, musiał się gdzieś schronić za drzewo.

„To więcej niż pewne“, zawyrokował stary leśniczy. „Znajdziemy go z pewnością, jeżeli tylko mój pan przyszle tu swego psa“.

„Czy tego ładnego „Pachóna“ w czarne i białe łaty? zapytał baron, przypominając sobie ładnego psa z rasy podobnej do pointerów, który podczas naszej kolacji we dworze leżał pod stołem.

„Nie“, odparł Don Esteban: „Ten jest tylko dobry do polowania na zające, króliki i kuropatwy, z podwiniętym ogonem zmyka przed każdym rysiem pardelowym. Jest za to tam w podwórzu tartaku, upięty na łańcuchu, kudłaty, biały pies owczarski. Ten umie tak się wziąść do rysia, że się pan niewątpliwie zdumieje. Gdy rysiów więcej tu dawniej bywało, umiał on niejednego wytropić, ująć i zadusić, i nosi dotąd ślady tych niebezpiecznych polowań na sobie“.

Don Esteban zaświstał teraz na srebrnym gwizdku, na co nadbiegł czuwający na skraju lasu nasz drwal z Barco. Jemu polecił więc, by o ile możności, jak najszybciej podążył do tartaku i wydostawszy owego białego tropiciela rysi, przybył z nim do nas. Człek udał się natychmiast w swoją drogę, a myśmy zaczęli chodzić tam i napowrót po zrębie, gdyż Don Esteban zaopiniował, że lepiej teraz na razie przestać szukać za zranionym rysiem. Myśl to była dobra, gdyż zwierzę, niepokojone dalszym pościgiem, mogło uciekać po drzewach, z gałęzi na gałąź, całymi kilometrami po lesie, gdzieby je potem z pewnością trudno było odszukać. A tak, ryś leżał gdzieś zapewne, wyciągnięty na konarze, i tracił siły wraz z upływającą zeń krwią.

Co do ubicia przemnie dwóch młodych rysiów — wyraził się Don Esteban bardzo pochlebnie i dał temu niedwuznaczny wyraz, mówiąc:

„Jeżeli pan już sprzątnął te dwa rysiątka, to pozostaw pan tę dziczyznę małżonce naszego gospodarza; ona załatwi się już z nią w kuchni. Nie masz pan pojęcia, jaka z tego smakowita będzie pieczeń! Nie odróżni pan jej od najdelikatniejszej i najlepszej cielęciny!“

Uwaga ta naszego cicerona po hiszpańskich rewirach, była w każdym razie dla nas nowością. U nas nie zużytkowuje się przecież kulinarnie mięsa żadnego ze zwierząt drapieżnych i nie możemy sobie wyobrazić n. p. nadziewanego słoniną czombra lisiego, sznycli z kuny lub kotletów z łasicy. Tu jednak trzeba zaznaczyć ku chwalebnemu stwierdzeniu słów Estebana, żeśmy się na drugi dzień rozkoszowali rzeczywiście pysznem pieczystem rysiem, po krótkiem naturalnem wzdraganiu się w pierwszej chwili.

Nasz poseł, ów drwal z Barco, wrócił prędzej, niż mogliśmy się tego spodziewać. Właściciel tartaku, sam zapalony myśliwy, kazał natychmiast zaprzęgać i przyjechał śpiesznie konno do nas z robotnikiem i swoim psem owczarskim, aby z tym kudłatym „Grifo“ (tak się nazywał tępiciel rysiów) osobiście wziąć udział w tropieniu postrzałka. Myśliwskie nasze oczy ucieszyły się teraz widokiem „Grifa“ przy robocie. Najlepszy hanowerski ogar nie byłby się lepiej od niego zachowywał. Farba prowadziła od miejsca strzału, które baron zaznaczył wetkniętą w ziemię gałęzią kasztanu, z początku przez gęste krzaki, potem przez przejrzyste pole młodego ryżu, a wreszcie do samotnie stojącego na dużej polance, potężnego dęba; i tu się ślad kończył. Prowadzony na smyczy Grifo zadarł natychmiast ku koronie drzewa łeb swój, a właściciel tartaku odwrócił się ku nam i zawołał wesoło:

„No, teraz go już mamy! W koronie tego dębu, na którejś grubszej gałęzi szczytowej, leży on tam wyciągnięty i zerka tu na nas! Trzebaby go obecnie celnie trafić w głowę. Jeżeli się nie wciśnie w walce ze śmiercią w korę drzewa, lecz spadnie, to Grifo raz dwa się tu z nim załatwi!“

Na pół zaschnięte na pniu dębu krople krwi, wskazywało stanowczo na to, że ryś tu się schronił w ostatniej gonitwie. Dąb stał samotnie, i nigdzie naokół nie było w pobliżu drzew; ryś więc nie mógł skoczyć dalej, choćby najśmielszym susem. Gałęzie u szczytu drzewa były jednak niestety tak gęste, że baron, z gotową do strzału bronią, kilka razy musiał obejść pień dookoła, zanim na jednym z konarów dostrzegł przyczajonego rysia; poznał go tylko po utkwionych weń, jasno-zielonych, błyszczących ślepiach. Prosto między nie celował baron uważnie i długo; wreszcie padł prawdziwie mistrzowski strzał w samo czoło rysiej czaszki. Łamiąc w upadku co drobniejsze gałęzie, leciał drapieżca ku nam; Grifo rychło się z nim załatwił, tembardziej, że zwierzę już pół-martwe pa-

dło na ziemię. Kilka jeszcze drgnień i nastała cisza i bezruch śmierci.

Była to rzeczywiście stara rysica, matka owego uśmierconego przezemnie młodego pokolenia. Długość jej wynosiła równo metr, z czego 15 cm. przypadało na dość gęstą kitę. Tułów jej był barwy czerwonawo-brunatnej w czarne prążki, kropki i centki. Pędzlowate kępki włosów, sterczące nad uszami, — mierzące u młodych rysi ledwo centymetr, mierzyły u starej półczwarta cm.; bródka, złożona u góry z brunatno-siwych włosów, pośrodku z czarnych, u dołu zaś z żółto-białych, była niezwykle długa i sztywna. Pazury miały 4 cm. długości, i były tak ostre i szpiczaste, że właściciel tartaku Bogu dziękował, że jego Grifo nie zabrał z niemi bliższej, a niebezpiecznej znajomości. Gdyśmy następnie odważyli rysicę w tartaku, waga wykazała $23^1/_2$ kg.

„No, dziś mieliśmy bogaty w plon św. Huberta dzień! Wracać do domu z trzema lisami pardelowymi, tego nikt z nas dwóch się nie spodziewał!" — rzekłem do barona, gdyśmy usadowiwszy się na wózku właściciela tartaku, zdążali ku jego domowi. Chcąc się podrażnić jeszcze nieco z moim przyjacielem, dodałem: „A całkiem już ani mi się marzyło, abym miał przewyższyć mego kochanego Franciszka, i zabiwszy dwie sztuki, zostać królem polowania!"

„Oho!", zareplikował baron, doskonale nastrojony. „Królem polowania nie jesteś, jak i ja nie jestem; nasz łup jest jednaki. I ja mam przecież dwie sztuki ubite!"

Teraz dopiero przypomniał mi się ów pierwszy strzał, który padł w lesie, zanim jeszcze spłoszona przezemnie rysica wyszła na barona. W gorączce poszukiwań zapomniałem zupełnie zapytać barona o ten strzał.

„No, a gdzież jest ta twoja druga zdobycz, mój drogi?" — interpelowałem barona, zaintrygowany nielada takim stanem sprawy.

„Tu!" — zawołał baron, rozwiązując swoją rzeczywiście jakoś napęczniałą torbę i wyciągając z niej zwierzątko, niezmiernie podobne i z całej postaci, i z puszystego ogona do wewiórki, odróżniając się od niej tylko popielatą jak u myszy barwą.

„Co za wspaniała popielica!" — zawołałem, poruszony naprawdę jej widokiem. „Jakeś przyszedł w jasny dzień do tego stworzenia, kiedy ono śpi za dnia jak zabite, a tylko w nocy żeruje?"

„Całkiem poprostu", — brzmiała odpowiedź. „Gdym stanął na stanowisku, był zmierzch ranny jeszcze. Popielica hałasowała i uwijała się w koronie drzewa, pod którem siedzieliśmy z Don Estebanem. Stawała słupka, skakała z gałęzi na gałąź. Jak tylko jednak padł pierwszy promień słońca, zwierzę zwinęło się jak jeż w kłębek i popielata kulka spoczęła w załamaniu sporego konara, aby odbyć swój sen dzienny, z którego — już nie miało się obudzić. Gdyśmy bowiem zobaczyli po paru godzinach oczekiwania, że rysi niema, złożyłem się do popielicy i za chwilę miałem ją już na dole. Dam ją sobie wypchać i będzie nielada ozdobą moich zbiorów".

„Ale mięso z niej oddamy znów naszej gospodyni, nieprawdaż? U starożytnych Rzymian uchodziła przecież pieczeń z popielic za prawdziwy przysmak", — wtrąciłem. Poparł mnie w tem i Don Esteban, i baron zdecydował się oddać tę swoją dziczyznę na rożen. Na drugi dzień spożyliśmy ją rzeczywiście ku ogólnemu zadowoleniu.

To był zenit naszych polowań w Hiszpanii. Właściciel tartaku zawiózł nas do Salamanki, skąd — razem z Don Estebanem — pojechaliśmy do Mediny del Campo, starożytnego, a zaniedbanego grodu królewskiego, gdzie w r. 1504, w zasypanym dziś zamku La Mota, dokończyła dni swego żywota Izabella katolicka. Stąd udaliśmy się z powrotem do Awili, gdzie w serdecznej gościnie u naszego leśniczego wypoczęliśmy przez trzy dni po trudach myśliwskich, poczem oparliśmy się już w Madrycie, aby powrócić do domów, unosząc z pięknej ziemi hiszpańskiej jedno z najmilszych wspomnień łowieckich.

(Przeł. Al. Ant. W.)



Korespondencje.

Sprawozdanie łowieckie. Nawiązując do zamieszczonego w Nr. 1 „Łowca" z r. b. sprawozdania przedkładamy dalsze, za czas od 1 maja 1909 r. do 30. kwietnia 1910 r., z uwagą, że, ze względu, iż rok nasz admistracyjny kończy się dopiero w dniu 1. września, sprawozdanie kasowe w swoim czasie osobno złożone zostanie.

Tereny naszych polowań były w okresie wyż oznaczonym też same, jakie wymieniono w poprzedniem sprawozdaniu, a zatem północna część powiatu rohatyńskiego w przestrzeni około 18.000 morgów.

W czasie od 1. maja 1909 do 30. kwietnia 1910 ubito:

a) na 12 polowaniach gremialnych a to 2 kociołkowych, a 10 kniejowych, tudzież na trzech doraźnych wycieczkach za dzikami: 3 dziki, 2 rogacze, 134 zajęcy, 13 lisów i 8 jarząbków. Na polowaniach tych dano 565 strzałów. a koszt użytej przy nich nagonki wynosił 428 koron 70 hał.

b) w pojedynkę na polach 43 zajęcy, 2 słonki, 3 kuropatwy, 16 dzikich kaczek, 27 kszyków, 1 dubelta, 158 chróścieli i 1176 przepiórek.

Zwierzyny szkodliwej, a to bądź strzelbami członków bądź straży łowieckiej, ubito: 17 jastrzębi, 142 wron i srok 10 psów, 16 kotów i 1 łasicę.

Jak z powyższego wynika, rezultat tegoroczny jest nader skromny, słabszy nawet niż w roku zeszłym.

Szczególnie przykro dawał się odczuwać brak zajęcy i tylko knieja Podgrodzka, oraz remiza 150 morgowa w Zalipiu, dały pod tym względem lepsze rezultaty. W ostatniej ubito w ciągu trzech godzin 33 zajęcy i 3 lisy przyczem dano około 90 strzałów.

Dzikom sprzyjało szczęście, w dniach bowiem wyznaczonych z góry dla polowań gremialnych, rozmijaliśmy się z nimi, otropione zaś dla doraźnej wycieczki, najczęściej wynosiły się przed czasem.

Na kuropatwy przez lat trzy wcale nie polowano, ratując niedobitki pozostałe po ciężkiej zimie 1906/7. Ubiegłej jesieni, doczekawszy się napowrót kilkunastu stadek dozwolono członkom na bardzo skromny odstrzał. Nawet jednak z tego ograniczonego zezwolenia prawie zupełnie nie korzystano, ufając, że tę dobrowolną dalszą abstynencję następny sezon obficiej wynagrodzi.

Wczesna, ciepła i sucha wiosna może te nadzieje ziści, relacje bowiem o stanie zajęcy i kuropatw brzmią nader korzystnie.

Za Towarzystwo myśliwych w Rohatynie:

Dr. Sander *Jan Stenzel.*

Colnbrookpark pod Londynem.

Będąc przed miesiącem w Londynie, postanowiłem skorzystać z pobytu w Angllji, aby naocznie przekonać się czy sława, jaką cieszy się Colnbrookpark, własność znanych rusznikarzy Cogswell i Harrisson, o którym to parku niedawno tak zajmujący artukuł umieścił „Łowiec“ — zasłużona.

Kilka uwag dodam tylko do ówczesnego artykułu, w którym p. Albert Mniszek znakomicie opisał urządzenie tej wzorowej i z dokładnością angielską wykonanej jedynej w swoim rodzaju strzelnicy. Udałem się zatem do pp. Cogswell i Harrison na New Benstreet 141 i poprosiłem o pokazanie mi ich wyrobów broni systemu Hamerless z ejektorami. Okazano mi trzy gatunki dubeltówek, różniących się w materjale, wykonaniu i cenie (powierzchownie wszystkie podobne — śliczne a skromne), a mianowicie: 1. the „Avant-tout“ ejector gun w cenie 26 gwinei. 2. the „Crown“, eject. gun w cenie 40 g. i 3. the „Victor“ ej. gun w cenie 65 g. Gwarancję dają za Nr. 1. i 2. 3-letnią za Nr. 3. 6-letnią.

Umówiwszy się z właścicielem firmy, że nazajutrz rano przybędę do Colnbrookparku, udałem się w oznaczonym czasie na stację Padnigton, skąd koleją dotarłem do West Dreyton, gdzie mnie oczekiwał samochód tych panów, którym w kilkanaście minut dostałem się na miejsce przeznaczenia.

Po dopasowaniu, odpowiedniem dla mnie, ruchomego łożyska strzelby „the Victor“, strzelałem do ptaków glinianych, unoszących się na drutach pionowo w górę, potem do dwóch, poruszających się równocześnie szybko na drutach poziomych w prawo i lewo.

Gdy próba poprawnie wypadła, zaprowadzono mnie do parku t. j. nizkich zarośli, przez które prowadzi wijąca się w różnych kierunkach ścieżka. Szedłem pierwszy, tuż przy mnie „menager“ zakładu, a zarazem nauczyciel strzelania, podający mi strzelbę nabitą i czyniący za każdym strzałem uwagi, za nami wreszcie chłopcy, pociągający odpowiednie druty, które krążki gliniane z naczyń ukrytych w zaroślach wyrzucają w najrozmaitszych kierunkach. Zatem strzelałem do grous'ców szkockich o nizkim locie podobnym do przepiórek, do kuropatw, a wreszcie do krążków, przemykających się szybko przez ścieżkę, a naśladujących króliki.

Potem ustawiono mnie przed żywopłotem, wysokim na jakie 3 m., gdzie miałem sposobność wprawienia się w strzelaniu — „tire haut“ do pędzonych kuropatw, wreszcie z wysokiej wieży na 20 metrów puszczano krążki, przedstawiające wysoko ciągnące bażanty. Zaznaczam, że to najtrudniejszy strzał; pomimo bezdymnego prochu, jak mię pouczył nauczyciel strzelania, trzeba brać na $1^1/_2$ do 2 m. naprzód i rzeczywiście, gdym poszedł za tą radą strzały moje okazały się o wiele lepsze, niż z początku.

Zdarzało mi się również, że nawet nie składałem się, gdy strzał do wyrzuconego krążka zdawał mi się za daleki. Na zapytanie, czemu nie strzelam, odpowiedziałem, że do tak daleko ciągnących ptaków nie zwykłem na polowaniu strzelać, aby ich niepotrzebnie nie kaleczyć. Na to uśmiechnięty ironicznie Anglik odpowiedział mi: „Widocznie nie miał pan dotąd w ręku naszej broni, niech pan tylko spróbuje, a przekona się pan, że nasze strzelby daleko sięgaja i zabijają“. I rzeczywiście rozbiłem potem kilkanaście krążków Nr. 12 (naszego śrutu) na odmierzonych 140 do 160 kroków! Zdumiałem nad doskonałością tej broni.

Wystrzeliłem przez trzy kwadranse 140 naboi, za co jak i za rozbite krążki i za automobil zapłaciłem $1^1/_2$ L. czyli 36 K.; — wielka przyjemność nie zbyt drogo opłacona, tylko przez 4 dni potem ramię z trudnością podnosiłem, tak bolało od tego strzelania tak częstego, do którego nie jestem przyzwyczajonym.

W wycieczce tej towarzyszył mi znajomy, radca miejski i członek Tow. strzeleckiego w Krakowie, który tak był całem urządzeniem zachwycony, iż zapewnił mnie, że dołoży wszelkich starań, aby podobny park powstał w Krakowie kosztem Tow. strzeleckiego. — co daj Boże, bo oprócz znacznych dochodów dla Towarzystwa, przyniósłby ogromny pożytek wszystkim zwolennikom szlachetnego sportu strzeleckiego, a ręczę, że wówczas Kraków byłby punktem, przyciągającym strzelców i myśliwych z całej Austrji i poblizkich krajów, jak nim jest Colnbrookpark dla Anglików, Francuzów. a nawet Amerykanów.

Mówił mi ów Anglik — dyrektor, iż dziennie pada tam, gdy się sezon w kwietniu rozpocznie, od 3 — 4000 strzałów!

Stryszów, dnia 9. czerwca 1910.

Fr. Łubieński.



Sprawy Towarzystwa.

Za sprawą p. Dra Karola Mátyása, przystąpili do gal. Towarzystwa łowieckiego pp.;

Kania Karol,
Lewiński Jan,
Siwek Antoni,
Späth Jan;

za sprawą zaś pp. Dra Alfreda Sandera i Tomisława Jędrzejowicza pp.:

Gostkowski bar. Witołd
Wiewiórowski Władysław.

Nadto wpisał się p. Karczewski Ludwik i Walenty Pacześniak.

Dalej z uznaniem podnosimy fakt, że starostwo samborskie, na skutek przedstawienia jednego z naszych delegatów, wystąpiło bardzo energicznie przeciw handlowi zwierzyną w porze ochronnej i ukarało grzywną w kwocie 20 K. Michała Hupentala i restauratorkę Paulinę Skowrońską w Samborze, za sprzedaż sarniny w miesiącu maju.

Nakoniec Wydział Towarzystwa przypomina, że w 12. N-rze „Łowca“ (z 16. czerwca) zaprosił P. T. członków do dyskusji nad projektem p. Dra Sandera, wydrukowanym w tymże numerze, a zmierzającym do zniesienia istniejącej instytucji delegatów, i wyraża ubolewania, że w tej, tak niezmiernie ważnej i żywotnej sprawie nikt dotychczas głosu nie zabrał.

* * *

Uwaga: Powolna rozsprzedaż nowej ustawy łowieckiej, (jedyne wydanie zupełne, z rozporządzeniami wykonawczemi,) przekonywa, że ani połowa myśliwych jeszcze jej nie posiada, co jest tem dziwniejsze, że wobec jej przepisów, dla łowiectwa bardzo niekorzystnych, każdy myśliwy gruntownie się z nią obeznać powinien. Czuwanie bowiem nad stosowaniem przepisów wykonawczych, mogących bodaj w małej cząstce zapobiedz wielu nadużyciom, bez znajomości ich samych i całej ustawy, wprost jest niemożliwe.

Wydział Towarzystwa.



Kącik humorystyczny.

Z dawnych czasów.

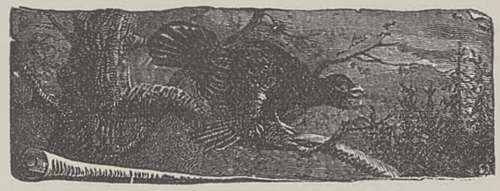
W pierwszej połowie ubiegłego wieku, żył na Podolu strasznie jowialny szlachcic, powszechnie kochany i szanowany, marszałek S. Jego niezliczone dowcipy i facecje weszły w tradycję i przechowały się dotąd.

Ale raz trafiła kosa na kamień.

Otóż marszałek miał sąsiada D., którego znosić nie mógł, a ten równą mu odwdzięczał się sympatją. Jeden drugiego posądzał wciąż o łacinę i to nie tylko łowiecką.

Sąsiedzi chcieli ich pogodzić i korzystając z jakiegoś zjazdu postarali się, aby obaj przeciwnicy się spotkali. Zgoda przy kieliszku jakoś się skleiła, a marszałek opowiadać począł, że w tym roku, w braku wyżła, poluje na przepiórki z jamnikiem, który mu znakomite na tem polu usługi oddaje. „Cóż to dziwnego Marszałku“, woła obleśnym głosem D. „ja mam byka, co staje do przepiórek jak mur, a od jamnika o tyle lepszy, że mi się w trawie nie skryje i zawsze go widzę“.

Zgoda słabo sklejona, natychmiast się też i rozkleiła, marszałek nie odezwał się już do p. D. i natychmiast zebranie opuścił.



Odezwa.

Uprasza się tych panów, którzyby mogli tej jesieni wziąć udział w popisach psów legawych, by zechcieli zgłosić się pisemnie do Zarządu klubu, Lwów, Jagiellońska 3 (lokal Redakcji „Łowca“), najdalej do 25. lipca b. r. Należy podać rasę i wiek psa, oraz rodzaj popisów, tj. czy ogólny, o nagrody pieniężne, (oddział II. lub III.), czy też w prowadzeniu przez panów (oddział IV.) o nagrody honorowe.

Propozycje do tych popisów byłyby te same, co do odwołanych w roku zeszłym (patrz „Łowiec“ 1909. Nr. 16, str. 186).

Zarząd klubu ogłosi w numerze „Łowca“ z 1. sierpnia br. zależnie od liczby zgłoszeń, czy popisy te odbędą się, czy nie.

Zarząd gal. klubu hodowli i tresury psów myśliwskich.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**